

Pokraczna apokalipsa czy żydowski „Władca Pierścieni”?



MICHAŁ CHUDOLIŃSKI

Krytyk komiksowy i filmowy. Prowadzi zajęcia z zakresu amerykańskiej kultury masowej – ze szczególnym uwzględnieniem komiksów – w Collegium Civitas. Pomysłodawca i redaktor prowadzący bloga „Gotham w deszczu”. Współpracował z „Polityką”, „Nową Fantastyką”, Polskim Radiem, Agencją Kreacji Filmu i Seriali Telewizji Polskiej oraz magazynem „Charaktery”.

Mimo ogromnego budżetu, „Bo się boi” Ariego Astera to porażka artystyczna. Reżyser atakuje bohatera tak oczywistymi, a jednocześnie niedorzecznymi metaforami, jak penis-gigant. Nawet Freud – gdyby żył – byłby zażenowany taką dosłownością

Wytwórnia A24 postanowiła przy najnowszym filmie Ariego Astera zaryzykować na całego. Aby dać twórcy „Midsommar” i „Hereditary” pełnię wolności i stosownej przestrzeni, wyłożyła na „Bo się boi” 35 milionów dolarów. Nawet absolutny zwycięzca tegorocznych Oscarów, „Wszystko wszędzie naraz” (także ze studia A24), nie otrzymał tytułu pieniędzy w budżecie. Niestety, skok na głęboką wodę się zdecydowanie nie powiódł. Mało tego, porażka artystyczna filmu unaocznia problemy X muzy, zarówno narracyjne, jak i te związane z innowacyjnością.

„Bo się boi” to bodajże najbardziej osobiste dzieło Ariego Astera. Jeżeli któryś z czytelników tekstu miał okazję obejrzeć poprzednie filmy reżysera, zwłaszcza krótkometrażowe, zauważy w jego twórczości szczególną tendencję. Astera interesuje temat tabu, zwłaszcza dotyczącego rodziny. Twórczość jest dla niego swego rodzaju formą egzorcyzmu. Dzięki niej próbuje poradzić sobie z traumami, które sam przeżył w rodzinnych czterech ścianach.

Tytułowy Bo jest paranoicznym leko-manem. Lęk przeszywa go w zasadzie w każdej chwili. Widząc świat jego oczami, obserwujemy wręcz epopeję, zakrojoną na szeroką skalę. Jak sam Aster zresztą wspomina w wywiadzie: „To swego rodzaju żydowski «Władca Pierścieni». Tyle tylko, że główny bohater wyrusza do mamy”. Przez prawie trzy godziny towarzyszymy Bo w szalonej i przerażającej wyprawie. I do końca nie wiemy, co jest w niej prawdziwe, a co jest rezultatem źle przyjętych medykamentów.

Oglądanie „Bo się boi” jest doświadczeniem jedynym w swoim rodzaju. Pod względem realizacyjnym oraz walorów produkcyjnych trudno przyczepić się do czegokolwiek. Zdjęcia Pawła Pogorzelskiego doskonale oddają kafkowskie akcenty historii Astera. W tym strumieniu świadomości neurotycznej osobowości wkraczamy do przedziwnego labiryntu symboli i znaczeń, które jednak – zsumowane – nie dają spójnej opowieści. Zostajemy obładowani taką ilością infor-

macji i ram kontekstowych, że w pewnym momencie spada zaangażowanie. A zakończenie wcale nie wynagradza poświęcenia. Wręcz przeciwnie.

Aster – oprócz wypędzania własnych demonów – pragnął w jakiejś mierze oddać kondycję współczesnego człowieka Zachodu. Człowieka egzystującego w późnym kapitalizmie, podpiętego 24 godziny na dobę do Internetu. Przy tym żyjącego po drugiej stronie Atlantyku, gdzie na polaryzację światopoglądową nakłada się wzrastająca przestępczość, nadużywanie leków (co jest problemem także polskim) i niepewność zawodowa. Nie należy tutaj zapominać o rewolucji kulturalnej widocznej zwłaszcza w Ameryce, gdzie biali, heteroseksualni mężczyźni są nierzadko spychani na margines, co poskutkowało pojawieniem się takich pojęć jak incel czy simp. To z kolei pozwoliło wybić się na popularność refleksjom takich myślicieli jak Jordan Peterson, którego nazywa się patronem porzuconych.

Aby oddać dramat dzisiejszego człowieka zanurzonego w tych kryzysach, reżyser zabiera Bo w „podróż bohatera”. Mitoznawca Joseph Campbell stworzył tę ideową konstrukcję na bazie koncepcji monomitu, zakładając, że każdy mit zawiera w sobie mniej lub bardziej podobny schemat. Inwencja Astera polega tutaj na tym, że bohaterem jego podróży jest postać całkowicie pasywna, dokonująca niemalże samych złych wyborów. Ma to wpływ na samą opowieść, w której trudno doszukiwać się katharsis, a zainwestowanej uwagi nie wynagradza ostatecznie wyjaśnienie intrygi skrywanej za fasadą podróży do matki.

Tak jak Franz Kafka uznawał „Proces” za farsę, humoreskę, tak Ari Aster traktuje „Bo się boi” jako komedię. Reżyser obśmiewa cywilizowany świat, nasiąknięty

psychoanalizą, w którym miarą sukcesu są regularne wizyty u psychoterapeuty, stanowiące coś w rodzaju poduszki powietrznej. Widać tutaj zwłaszcza inspirację fenomenalnymi dokumentami dziennikarza BBC, Adama Curtisa. Szkoda tylko, że śmiech na seansie „Bo się boi” nie wynika z przesady czy też absurdu przedstawianych na ekranie sytuacji, a jest próbą wyswobodzenia się z dyskomfortu. Zwłaszcza, gdy reżyser atakuje bohatera tak oczywistymi, a jednocześnie niedorzecznymi metaforami, jak penis-gigant. Nawet Freud – gdyby żył – byłby zażenowany taką dosłownością.

**Przez prawie trzy godziny
towarzyszmy Bo w szalonej
i przerażającej wyprawie.
I do końca nie wiemy, co jest
w niej prawdziwe, a co jest
rezultatem źle przyjętych
medykamentów**

Po seansie najnowszego filmu Astera, nazywanego obecnie nową nadzieją horroru i jednym z najbardziej utalentowanych twórców, zostałem w poczuciu defetyzmu. Kino – a zwłaszcza jego odłam fabularny – jest w poważnym kryzysie. Nie tyle ekonomicznym, wywołanym pandemią, co związanym z kreatywnością. Coraz trudniej zmieścić w standardowym, półtoragodzinnym czasie trwania pomysł fabularny, który wcześniej nie został już zrealizowany. Forma filmowa zostaje poddana próbie. Nie tyle związanej z naszą cierpliwością do wysiedzenia trzech czy czterech godzin (tyle swoją drogą ma

trwać najnowszy film Martina Scorsese), ale nade wszystko – z możliwościami formuły serialowej. Ta ostatnia pozwala wyczerpująco podejść do artystycznych zagadnień, przy tym umożliwiając lepszy rekonesans otaczającego świata i nie obrażając inteligencji widza, co niestety robi

Aster czy Nicolas Winding Refn w „Neon Demon”. Skoro autorzy chcą w taki sposób pokazywać dezaprobatę wobec widzów, to niech potem nie dziwią się, że odzew jest marny.

Bo się boi, reż. A. Aster, USA 2023.